

Pomsta ziemi



STEFAN GRABIŃSKI

W POMROKACH WIARY

Pomsta ziemi

W chacie więdźmy Magdy dniało. Przez zmańcone kiry nocy przebierał się tajonym, kocim chodem srebrno-szary świt, przesiąkał z wolna przez szyby, wlewał w świetlicę, majaczył po ścieli, rozpelzywał po toku, wnącał w mroczne kąty. Okna, jakby bielmem zasłę oczy, poczęły lśknąć się i połyskiwać pod światło. Ale już i zza bliskiego boru rozległy się szумы a nawoływania, wszczęły dziwne pokrzyki, pohutnywania, radosne rozhowory¹.

Czasem mignął płochliwym lotem nietoperz, huknął puchacz, lecz wnet milkł ze strachany. I znów nastawała cisza ogromna, zaparta, wyczekująca...

Daleko, daleko, na krańcu nieba coś, niby majak senny, różane przeczucie poranka mżyło mglistą poświatą; pół skłonu niebieskiego pojaśniało od tego świtania, odrzuciwszy mroki na północną połąć; wschód rumienił się coraz mocniej, wzmagął w sobie i roz-taczał pogodne, skąpane w rumianym świetle zaranie. Oto już strzeliste smugi uderzyły spod ziemicy i rozprysły po nieboskłonie, a za nimi w ślad wynikła złota kula słońca; zakolebała się przez chwilę nad światem, a potem wtoczyła na zweselone niebo. Kilka jasnych promieni liźnęło ściany i powałę izby i rozkociło się po silnie ubitej podłodze.

W świetlicy roześmiał się wielki, biały dzień... Sosnowe dźwirze komory skrzypnęło i z mrocznej czeluści wysunęła się kraśna² czarnobrewa. Lśniące, krucze włosy ściągnięte niedbale przy głowie czerwoną zawiązką staczały się po ramionach ku ziemi w miękkich zwojach. Ociężała od snu, poprawiwszy zmięty w nieładzie gorset wyszywanej koszuli, przysunęła dziewczyna stojącą pod ścianą ławę do okna; usiadła cała skąpana w złocistym świetle poranka. Prawą ręką ujęła w połowie włosy i zaczęła je przegarniać grzebieniem. Promienie grały w bujnych skrętach, pławiły w gorącej rozkoszy ciężkie sploty, za każdym żywszym targnięciem twardej, jędrnej piersi dziewczuszej. Nuciała jakąś namiętą dumkę, goniąc wzrokiem po sperlonej rosą lewadzie³, co przez szyby widniała; z świeżej murawy biegle spojrzenie na szumiący świtową pogwarą bór, zwieszało się z konarów na konary, wnikało w czerniejącą tajemniczo głąb...

W komorze odezwał się suchy kaszel, a po chwili utykając na sękatym kosturze uka-zała się brzydka starucha. Młoda, nie odwracając głowy, nuciała bez przerwy. Wiedźma koso spojrziała na córkę i, coś mamrocząc, zdjęła z przypiecka pęk suchego ziela, pokru-szywszy je na drobne kawałki, włożyła do glinianego garnka i zasunęła w piec; potem rozpalila pod spodem małe ognisko. Przez cały czas mruczała, bez ustanku wysuwając pomarszczoną, pokrytą brodawkami żuchwę.

Magda zeżłona była tego rana okrutnie. Nie wiodło jej się. Onegdaj Antoszce kowa-lowej tak odczyniła uroków, że kobieta ledwie co⁴ nie zamarła i rozchorzała do „niepa-mięci”⁵; a kowal sklął, napomstował i ledwo kija nie imał⁵. Albo Jagnie sołtysowej takiego zielska zadala, że dziewczki się niby błąd jakowys czepił i przez trzy dni i nocy po chacie wodził.

Dom, Czarownica, Świt

Świt, Światło, Słońce

¹rozhowory (z rus.) — rozmowy. [przypis edytorski]

²kraśny — tu: piękny. [przypis edytorski]

³lewada (reg.) — tu: polana. [przypis edytorski]

⁴ledwie co — tu: o mało co; prawie. [przypis edytorski]

⁵imać się czego (daw., gw.) — chwytać się czego, brać się za co. [przypis edytorski]

Nie dziwota, że na takie leki ludziska poczęli odkazywać, spode łba patrzeć, a i przepiwać. Byli i tacy, co z nią i gadać nie chcieli, jeno schodzili z drogi jak temu psu zapowietrzonemu, a wrótnie⁶ do zagród zawierali⁷, gdy podle⁸ przechodziła.

A przecież bywało drzewiej⁹ inaczej; szanować — ta jej tam nikt nie szanował, boć zwyczajnie biesowa kuma¹⁰ — aleć¹¹ tę ufność i wiarę duszną¹² mieli, która już sama przez się niejedną chorość¹³ z członków spędziła. Chodzili też do niej, chodzili, z całej wsi się zwlekali do znachorki: ten z nogą, ten z ręką, on¹⁴ z bolącym krzyżem; inny do położnicy¹⁵ przyzywał, że i tego dnia bożego nie stało¹⁶, a nieraz i dwa koło północks spać legiwała¹⁷. Rosłać¹⁸ stąd chudoba¹⁹, czerwienców²⁰ w skarbonie przybywało, że i Rozalkę przyogarnąć mogła niby dworkę jaką, i sama za pierwszą gaździnę w siole²¹ uchodziła.

A dziś? — Ledwo raz lub dwa razy na tydzień zajrzy kto do obejścia starej Magdy i o poradę zapyta, a i to w ślepiu niby świdy wkręca, i na podziękę lichego groszaka rzuci.

Ale wiedziała, w czym przyczyna licha i odmiany, przejrzała wszystko do cna. Spoznała²², kto jej bruździł²³. Ten zaprzepaszczony przybłęda, czarci syn, ten piekielnik przeklęty, co ni z nieba, ni z ziemi, bies ta wie skąd, wncił²⁴ się do wsi łońskiego²⁵ roku i niby król jaki osiadł na Jaworznym ostrowie, i ludziom wsiowym łby pozwracał. Ledwo się pojawił, aż tu gromadami poczęli się do tego zatraceni zlatywać a przeciskać, a bez mała na kolanach zaklinać, by pomagał w doli nieszczęśliwym. I uzdrawiał! I co za choróbska wyganiał precz, że nogą nie powstały w ciele. Bolaki, strupy, wrzody przemierze, co od lat gnoily i ropiały, że ciało marniało i kawalcami całymi gniło, i rozpadało się, strupieszale gnaty, ociekłe krwią spiekłą opuchliny... A powiadali wsiowi, że i złego, który rzuca ludźmi, przepędzał za światy diabłu na zgryzotę, ludziom biednym na pociechę, w tej żywota udręce. Mocnym go zwano, bo i siłę niepomierną miał, i krzepkość w duchu. I czuła Magda ku niemu i nienawiść taką, żeby go tymi spróchniałymi zębami na pasy ozdarała²⁶, a tymi pazurami oczy wylupila — i strach taki, że ilekroć przypomnialy jej się te oczy ciche i spokojne, sinym blaskiem świecące niby ta ustała woda wśród boru, to ziąb jej nieznośny chodził po starych kościołach i trząśł bez miary, że jako czerw podły zwijała się w kłębek i dygotała wyschłym szkieletem. Mocarz był, a ona, ot, zwyczajna baba, co ludzi zamawianiem i czarami tumani. Aleć właśnie dlatego postanowiła go zetrzeć na proch, żeby i ślad nijaki po nim nie pozostał, ni cień marny. A sposób znalazła; pół roku się głowiła i nalazła: mądra baba była — nie darmo Magdą-Liszką zwano.

Zwiedziła²⁷ się o nim przeróżnych rzeczy, nasłuchiwała niejednej gadki, co głuchym posłuchem po siole błędziła. Bo z samym z bliska pogwarzyć trudno było. Chorych przyjmował tylko przed południem, a całą resztę dnia zaszywał się jak dziki zwierz w swym jaworowym ostępie i nie przypuszczał do się nikogo: ani starego Marcinka — przewoźnika, co mieszkał na przeciwnym brzegu i ludzi na ostrów przeprowiał. Sam i zawsze sam.

⁶wrótnie (gw.) — wrota, drzwi. [przypis edytorski]

⁷zawierać (daw., gw.) — zamykać. [przypis edytorski]

⁸podle (daw., gw.) — obok, wzdłuż, pod. [przypis edytorski]

⁹drzewiej (daw.) — dawniej. [przypis edytorski]

¹⁰biesowa kuma — związana z biesem, znajoma diabła. [przypis edytorski]

¹¹aleć (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: ale przecież, ale jednak. [przypis edytorski]

¹²duszny (daw.) — tu: duchowy, żywiony w głębi duszy. [przypis edytorski]

¹³chorość — choroba. [przypis edytorski]

¹⁴on (daw., gw.) — ów, tamten. [przypis edytorski]

¹⁵położnica — rodząca kobieta. [przypis edytorski]

¹⁶nie stawać — brakować, nie starczać. [przypis edytorski]

¹⁷legiwać — daw. forma wyrażająca czynność wielokrotną a. zwyczajową; znaczenie: kłaść się. [przypis edytorski]

¹⁸rosłać (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: przecież rosła, jednak rosła itp. [przypis edytorski]

¹⁹chudoba (daw., gw.) — dobytek, majątek. [przypis edytorski]

²⁰czerwienice — tu: złote monety. [przypis edytorski]

²¹sioło — wieś. [przypis edytorski]

²²spoznała — rozpoznała. [przypis edytorski]

²³bruździć — szkodzić, przeszkadzać. [przypis edytorski]

²⁴wncić się (daw.) — wcisnąć się. [przypis edytorski]

²⁵łoński rok (gw.) — tamten rok, poprzedni rok. [przypis edytorski]

²⁶ozdarała (gw.) — rozdarła. [przypis edytorski]

²⁷zwiedziła się — dowiedziła się. [przypis edytorski]

Pono i w niedzielę świętą z kryjówki na świat nie wyglądał i Boga nie chwalił. Bezbożnik też to być musiał, bez pochyby²⁸! Bo i pewno. Skąd by takiej mocy wziął, jeśli nie od biesa? Kochał go zły — to i mocą piekielną darzył.

Tak sobie na ucho gadali wsiowi. — Magda słuchała chciwie i pamiętała wszystko. Nie bardzo tam i wierzyła w czarty, diabły i inne paskudne ludzkie wymysły: kto wie, może tam co odmiennego w osierdzu, kto ta wie? Może tam inna władza²⁹ przewodzi, w żelaznych cęgach dusząc gnie, a serce w stal zakuwa? Kto ta przejrzy — odgadnie mroki te?... Może go duszna wiara krzepi niepochyliwa jak skała, rozrosła jak dąb, straszna mocą jak czar — wiara w coś, czego nie zna, lecz co było i w niej, i w innych, co tylko w zjawach sennych majaczy, w niedośnionych snach mżeje marą bladą, mdlejącą — a na jawie rozpływa się, rozpryskuje, szczerza³⁰...

Aleć nie był to niebieski zachwyty mieciony pod stopy słodkiego Zbawcy naszego, przepokorny, pokłon przed obliczem Boga — nie!...

Wiedźma bystre oko miała i za czujne ucho, by tu powinąć nogę...

A gdyby tak to wierzenie mocne rozchybotać, zakolysać jak dębem — rosochem³¹?... I dęby wichrom powolne podają wiśny³² grzbiet... choć czasem i kret poderwie korzenie... Lepsza krecia robota, bo bezpieczniejsza, wczas uskoczyć można: dąb padając przygnieść może i robaka, gdy mu się gdzie nawinie...

I czart w niej zachichotał cichutko, obleśnie...

Pojrzała na córkę. — Cudna dziewczka była i dorodna jak we wsi żadna. Toż i parobcy tracili głowy, a wodzili się za lby³³ o nią. Zalotnica była okrutna, a o żadnego nie stała³⁴: miłości w niej nie było nijakiej; niby te lody skrzące tęczową przyłudą pod słonko, gdy na odwieczny zapada, migotliwe, uwodne, a zimne... Żarzył jej się w ślepiach czarnych ogień, aż iskry po czleku chodziły, kiedy pojrzała, ale taki płomień nie grzał, nie spływał słodkim żarem na duszę pragnącą; niecił jeno niesamowite żądze, palił i trawił we wnętrzu, póki wszystkiego nie spopielił, póki dusza nie dotlała...

— Rzuciłabyś precz raz to zgrzeblo! Przegarniasz i przegarniasz bez miary. I bez to mi się urodna widzisz, że i drugiej naleźć trudno. A przecież jest ci pono jeden, co by się tej gładkości oparł...

Rozalka odwróciła się, pytająca...

— A Wawrzon Mocny? He?!.. Czarownik z ostrowu? No! Jakże?... Dałabyś rady?...

— Nie... Tak!... Na waszą głowę matko: tak! Żeby mi skonać u nóg miała jak pies, tak!... Zmogę go i wam oddam — tym włosem oplątam i o ziem miotnę, w staw zawlokę — tymi wargami się mu w wargi wgryzę i krwi utoczę, upiorem stanę!... Pomszczę was, matko, tylko dopomóżcie... Mądrzy jesteście: ja jeno urodę mam...

— Pójdiesz na Święty Jan, popołudniu, jak pierwszy minie żar... pójdiesz tam... He, he! Z wielką chorobą... wiesz?... Pokłonisz się, a jak łaskę najdziesz, nie daj się wnet!... Niby długo męcz: ociętna³⁵ woli jego bądź... aże rozgorze sam... Wtedy ostaniesz... a potem ja... He, he! Nabożna bądź, na drogę książkę dam... tyś piśmienna.. Ja też później zagładnę... wiesz? Ja przecież twoja mać!...

Stara z pianą na ustach, rozwścieczonym ślepiem tkwiła w twarzy zdumiałej i przelęklej Rozalki. — Zniżyła głos do syczącego szeptu i przez zaciśnięte zęby wyrzucała słowa zjadliwe jak trucizna, każące duszę niby trąd. A gdy zmożona zawiścią i jadem umilkła, a Rozalka poszła ogarnąć się do komory, postąpiła ku oknu, wyteżając siwe, sowie oczy w stronę rzeki: wodziła nimi chwilę, zdając się czegoś wypatrywać; po jakimś czasie znała³⁶ znalazła: wpiła krogulcze pojrzenie w jedno miejsce... na twarzy czwarzył się długo szydny, urągliwy półuśmiech...

²⁸bez pochyby — ani chybi, niechybnie; na pewno. [przypis edytorski]

²⁹władza — władza, moc. [przypis edytorski]

³⁰szczerząc (daw.) — umrzeć. [przypis edytorski]

³¹rosoch — uschłe drzewo. [przypis edytorski]

³²wiśny (daw.) — gibki, giętki, uginający się, elastyczny. [przypis edytorski]

³³wodzili się za lby — bili się. [przypis edytorski]

³⁴stać o kogo (daw., gw.) — dbać o kogo; o żadnego nie stała: nie zależało jej na żadnym. [przypis edytorski]

³⁵ociętny (daw., gw.) — krnąbrny, uparty, zacięty, oporny. [przypis edytorski]

³⁶znać a. znać — widocznie. [przypis edytorski]

Jaworzny ostrów drzemał. Ujęty wodnym uściskiem rozwidlonej rzeki, zasuty po krajach³⁷ chaszczami, obrosły po urwistych brzegach zielskiem i mątwą na glucho, najeżył się kolcami tarniny, nastroszył drapieżną oprzędzą cierni i jeżyny.

Popołudniowy żar czerwcowego słońca drgał jeszcze rozognioną falą, ale już z wolna przygasał. Za to obsunęła się miękko na ziemię leniwa senność i omdlenie, które pograżyły w drętwoce dalekie siolo, padły na pola, pastwiska, osnuły drzemiącą nudą rzekę i ostrów. Wody bulgotały przyciszonym szmerem, lekko opluskując wysepkę; ciszę przerywał tajnym szeptem ciepły wiatr, co na wiotkich skrzydłach wionął stamtąd zza boru i przypadał mdłym, zdyszczanym tchem pod znieruchomiałe drzewa... Sza... sst... z boru świst niosę — sepleni osika, szeleszcze liść siwy... sst... w spróchniałym dziuple świeci rdzawy czyr... sza!.. sst... świst niosę...

Zachwierutały wierzchołami jawory, skrzypnęły chropawo... wiatr zmarniał gdzieś w gąszczu olchowym...

W pośrodku ostrów bieląła spomiędzy gęstwiny chata. Pociągnięte na bladą barwę ściany błyskały na świat czarno lśniącymi szybami okiennic. Pod okapem na przyzbie siedział człowiek, żując machorkę w zębach. Jawory rzuciły nań głęboki cień, który posuwał się na strzechę chaty, ilekroć silniejszy powiew przyklonił im głowice. Parę topól pruli błękit smukłym szczytem...

Odłudnie było i samotno ni jednej ludzkiej duszy wokoło. Wszystko tu wybujało jakoś bez miary, wszystko przerosło... W okna zazierały wysokie, zwieszające zielone lby łobody, wokół pachniała ostro macierzanka... Potworne zielska rozpanoszyły się splątanymi dziko łodygami, poskręcały w żylaste, wiśne kłęby, że by sam zły nie rozsuptał, przygluszyły ziemię. Do jaworów przywarły mokrą, wiecznie niesytą wargą dziwaczne grzyby i ssaly je, ssaly... Smętek się tułał cmentarny po tej przebudzonej dziedzinie, smęt wnikał do duszy, zaciągnął dziwną tęsknicą jasne, niby blaskiem prześwietlone oczy siedzącego człowieka... Zadumał się, zapamiętał... Był znajdą. Stary, na pół zdziczały smolarz znalazł porzuconego chłopca pod borem, ulitował się i zabrał do swej nędznej chatki pośrodku stuletniej kniei. Dobrze im ze sobą było w samotnej smolarni. Stary unikał ludzi, z którymi mało się zadawał, bo mu wśród nich było obco. Tyle że trzy razy na tydzień jeździł z mażą do sąsiedniego miasteczka, a i to kwapił się zawsze z powrotem do swego Wawrzonka. Mijały lata, chłopak urósł, zmężniał i smolarzowi zaczął pomagać. Dziwny też był z Wawrzonka chłopiec. Bywało, w gorące, letnie popołudnia, gdy stary zmożony pracą zasypiał gdzie w cieniu, siadał na wielkim, kamiennym otoku pod dębem i wsłuchiwał się w ciszę puszczy. Błogość ogromna i moc schodziła nań od tej przebudzonej, naokół rozszumiewającej pogwarą drzew ostoi, przejmowała duszę, wstępowała w ciało. Wsyssał wszystkie jej mocne a życiodajne soki, siły żywotwórcze, które drzewa pędzą w górę, mnożą zwierza wszelkiego, rozpleniąją ludzi. Pił spragnioną wargą ten cudowny odwar, co uzdrawiającym zapachem z ziół sielskich tryszcze, rozkoszą spija. Wchłaniał tę miodosytną mannę, co życiem darzy i zdrowiem, co w dziewczkach ogień rozpala, że pomiotować chcą, co w mężach żądę zażęga, starców sili. Więc że nań błogosławną łaskę swą siewała, mocą nadziewała — kochał tę mać przyrodę, kochał i czcił; wszystkim mu była: piastunką, rodzicielką.... Bogiem. Poganin był. Wierzył w nią wiarą dziecięcą, taką, co nie rozbiera, nie rozważa, jeno z ufnością bezkresną składa głowę na umiłowanej piersi, bo pokorna jest i kochająca. I tać wiara gorąca a prosta, to oddanie serdeczne, pokłonne moc ową i siłę w nim wzmożyło. I tak zwierzał się z nią coraz krzepiej, przepajał, przenikał. Nie było ziola, którego by mocy nie znał, nie było otrui, przed którą by go nie przestrzegło. Raz go smolarz zeszedł na tym, jak objawszy pękaty, kłakami mchu zarosły jawor, przytulił się do pnia z czcią wielką i miłością. Innym razem padł twarzą na ziemię przed wiekowym dębem i tak przeleżał aż do zmroku; a gdy wrócił na odwieczny, jaśniał dziwną jakąś pogodą i spokojem. Stary zdumiony zapytał: „Cóż ci to?”

— Modliłem się i moc zesłała na mnie — odparł Wawrzon i nic już więcej dnia onego nie chciał odpowiadać.

Od tej chwili poczęły się w smolarni dziać różne dziwy. W parę dni potem stary, rąbiąc drzewo w lesie, zaciął się silnie w nogę i krwią broczył. Gdy Wawrzon przerażony podbiegł i dotknął rany, krew przestała uchodzić, a rana zaczęła się rażno zasklepiać. —

³⁷po krajach — na krańcach, na brzegach. [przypis edytorski]

W rok potem wybrali się obaj na kiermasz do Psiej Wólki. Z powrotem spotkali przy drodze jakiegoś nędzarza owrzodzonego na całym ciele ropiącymi krostami. Wawrzon kazał mu iść za sobą do smolarni, gdzie nieszczęśliwy pozostał przez cały tydzień. Codziennie w pierwsze ranki wywoził go Wawrzon w las; tu kazał stawać pod jakim drzewem, po czym wyciągał rękę i wodził nią wzdłuż ciała. Wtedy strupy rozwierały się, wrzody, co lata całe jątrzyły, dojrzywały gwałtownie, wyrzucając zapiekłą ropę. Po tygodniu żebrak porzucał, zdrów całkiem, z błogosławieństwem ustronną smolarnię.

Wieść o uzdrowieniu rozniosła się po okolicy; niedługo było i czekać, aż tu z postronnych siól i slobód zgarniali się ludzie pod ostępem smolarzy. Wawrzon serce miał litosne i miękkie jak u gołębia, chciał biedakom dopomóc, więc nie odmawiał. Od ranka do wieczora pracował bez wytchnienia.

Tymczasem zmarło się staremu; sękaty jesion, zwałając się pod ośnikiem drwała, przyniósł go na śmierć. Wtedy Wawrzon rzucił smolarnię, rzucił ostęp i osiadł na Jaworznym ostrowie, gdzie i samemu, i ludziom było dogodniej. Do południa przyjmował chorych, a kiedy słońce przesunęło się poza środek niebieskiego skłonu, ostawał sam.

Rok już tak przebywał na swym odludziu. Umiłował smętek wysepki, wgrażył się w jej ciszę. W srebrne świtanie poranków wstawał z łoża i wychodził przed chatę, by z zawsze tym samym zachwytem, z tym samym rozmodleniem w oku podziwiać cud promiennego poczęcia. Co wieczór żegnał rozognioną źrenicą zasuwające się za leśne obrzeża słońce, spijał chciwą wargą rosną łaskę nieb.

Tymczasem chwasty koło domu jego rozrastały coraz bujniej, wzmagały się, tężniały. Nie ruszał ich, nie plewił. Więc wreszcie sięgnęły po strzechę, zawlokły ściany, spętały komin... I tak zakryły chatę, opanowały ścieże. I Wawrzon wśród nich zanikł. Już do siebie nie należał: był częścią ostrowu, z którym go spoiły niby żyłaste, napęczniałe krwią ścięgnięta bulw, łodyg, kłaczów. I rozplynął się w tej rozszalałej skrętami oplączy, zaprzepaścił w potwornym przeroście.

Dzierżyły go przemożne spoiwa; zerwać je — trzeba by samego zniszczyć, skruszyć na proch, bo już za głębokie w duszę zapuściły zagony; wyrwać — krwią by ociekł serdeczną...

Czasami tylko nachodziły go dziwne zachcenia, brała bezbrzeżna tęsknica lecieć gdzieś na kraj świata do ludzi, do słońca, przygarnąć do piersi szerokiej coś, co jak ptaszyna wdzięczna trzepoce, co wiotsze niż ten oczeret zwiewny, kraśniejsze niż kaliny jagody — otulić tulącą głowę samotnika czymś, co nad len miększe, nad miętę wonniejsze — nasycić spiekle usta czymś, co nad miód słodsze, co z lipy kwietnej przejasną oskołą się sączy...

Drzemała w chmurnych wnękach duszy jeszcze niezaspokojona żądza, rozkołysująca od czasu do czasu palącym wirem krew, zasobna mleczem. Mocny był, władny, niezmożony jej niedopełnieniem...

Wawrzon mocny nie zaznał niewiasty...

Wtem marzenia pierzchły. Przed nim o parę kroków stała smukła dziewa, patrząc na poły z pokorą, na poły z żarem utajonym w głębi skrzącej, ciemnej źrenicy.

Wawrzon zmarszczył się: nie lubił, gdy go nawiedzano nie w porę.

— Wybaczcie, Mocny — jęła miękkim jak ligawka³⁸ głosem — wybaczcie nieszczęśliwej... ale już końca tej udręki, co ciało młode toczy, przejrzeć nie mogę. Więc żeście władni, że w mocy waszej zło pognębić, złą dolę przemóc, przyszłam i do nóg wam się ścielę proszalna: wróćcie mi zdrowie, oddajcie siły, co gdzieś w ztratę poszły, zleczcie mi ciało... Bo zły jakiś opętał mnie i o ziem rzuca, pianę toczy, po urwiskach wodzi, że już ni spać, ni pożywić się, ni wytchnąć, ni żyć... Oj doloż moja, dolo zaprzepaszczona...

Zmiękł i podniósłszy klęczącą Rozalkę, kazał bystro patrzeć sobie w oczy. Wzniósł rękę ku skroniom dziewczyny, a potrzymawszy chwilę w niedużej odległości, poczał ją zniżać wzdłuż ramienia. Doszedłszy do łokcia znów wstrzymał się. Z zaciętych ust wypłynął urwany rozkaz:

— Drżj!

Rozalka stała nieporuszona, tylko w kątach niedomkniętych oczu tlił się jadowity błysk. On jednak był cierpliwy; przebiegł ręką po ramieniu lewym do końca i przeszedł

Choroba, Kłamstwo,
Lekarz, Natura, Prawda,
Siła

³⁸ligawka — fujarka; prosty, ludowy instrument dęty. [przypis edytorski]

na prawe. Dziewczyna nie drgnęła. Wpiła się tylko w twarz znachora dzikim, namiętym spojrzeniem i czekała, rychłoli³⁹ przyjdzie pora...

Lecz twarz Wawrzona była dotąd jak kamień twarda i zimna. Może tylko brew zjężyła się silniej, może moc skupiła się zwarciej... Teraz położył prawą dłoń na głowie a kłykiem lewej ześlizgiwał się w poprzek ciała...

Rozalka uczuła lekkie drżenie, ale bronila się jeszcze. Nie była przecież opanowana biesem; widziała już tych nieszczęśników, jak w okrutny tan się puszczają, w kłębach wiją, w płasawicy szamocą. Lecz ona zdrowa — jeno mać przykazała nawiedzoną zmyślać...

Nie wiedziała ni Magda, ni córka, że tacy, jak Wawrzon i ze zdrowym dziwnych rzeczy dokażą; tylko że wtedy żmudniej i dłuższego czasu potrzeba. Tymczasem nie dawała się. Wawrzon w miarę mienił się coraz dziwniej. Zwykle spokojna, pogodna twarz przybrała posobę jakiejś zażartej zaciętości i uporu. Żyły na czole wystąpiły w grubych, sinych węzłach, oko jarzyło się wewnętrzną pożogą: rozjątrzyła go ta ociętna dziewczka — chciałby ją zmóc, pokazać moc swą, do nóg zwalić drgającą... Szyd, co wałęsał się w kącie kraśnych warg podzegał go klującym ościeniem...

Do tego przyłączyła się żarna tęsknota posięcia tej pięknej czarnobrewy, tej pierwszej w życiu, jedynej, posięcia przez moc, przez władę.

I tak zmagali się nawzajem odwiecznym bojem męża i niewiasty. — Lecz on już brał górę; już chybkie drgania wyginały ciało Rozalki, już ramiona poczęły się skręcać, oczy obłądnie obracać — rżesny, zimny pot ściekał po kruczych warkoczach...

Ostatkiem woli zebrawszy się w sobie wyrzuciła przez ściśniętą niby kleszczami krtań: — Zelżyj! Ja twoja!... — i obsunęła się cicho na murawę...

Chwycił ją krzepko, przygarnął do włochatej piersi i jak dziecię poniósł do chaty z szeptem:

— Pójdź, dziewczko umiłowana ty moja, pójdź...

Znikli w otworze drzwi, co się za nimi zaparły... Zasepleniły drżące liście osiki, rozgarzyły topole, jawory... osędziały, usiany wargami hub klon wyprężył jeden z swych przestronych konarów i spłynął młodą zielenią na strzechę — położył ciężką, ojcowską rękę jakby błogosławiąc temu, co się spełnić miało...

A reszta drzew wtórzyła przyciszoną gędzibą⁴⁰...

...Jezus tedy, gdy ją ujrział płaczącą i żydy, którzy z nią przyszli, płaczące: rozrzewnił się w duchu i wzruszył sam siebie. — I rzekł: „Gdzieście go położyli?” — Powiedzieli Mu: „Panie, pójdź a oglądań”. I zapłakał Jezus. — Mówili tedy żydowie: „Oto jako go miłował” — Jezus tedy rozrzewniwszy się zaś sam w sobie przyszedł do grobu. A była jaskinia, a kamień na niej był położony. Rzekł Jezus: „Odejmijcie kamień”. — Rzekła Mu Marta, siostra tego, który był umarł: „Panie, juści cuchnie, bo mu już czwarty dzień”. — Powiedział jej Jezus: „Zażemci nie rzekł, iż, jeżeli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą?” — Odjęli tedy kamień. A Jezus, podniósłszy oczy swe w górę, rzekł: „Ojcze, dziękuję Tobie, żeś mię wysłuchał. — A jamci wiedział, że mnie zawżdy wysłuchywaś, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iżes Ty mnie posłał”. — To rzekłszy, zawołał głosem wielkim: „Łazarzu, wynidź z grobu”. I natychmiast wyszedł, który był umarły, mając ręce i nogi związane chustkami: a twarz jego była chustką obwiązana. Rzekł im Jezus: „Rozwiążcie go i puśćcie, aby szedł”. — Wiele tedy z żydów, którzy byli przyszli do Maryi i Marthy, a widzieli, co uczynił Jezus, uwierzyli weń...

Rozalka opuściła znużona książkę i zamilkła. Magda z obłudnym zachwytem podnosiła wypłowiałe oczy na obraz zawieszony nad wejściem, wyobrażający „Rozdzielanie chlebów”. Z obrazu przerzucała krótkie, świdrujące spojrzenie na zamyśloną twarz Wawrzona, by wnet zerknąć dziwnie jakoś ku córce. W izbie zaległa cisza, przerywana bzykiem much lub buceniem trutni dochodzącym ze dwora

Wawrzon siedział w cieniu, w kącie świetlicy bez ruchu, bez słowa. Od łońskiego lata zmienił się bardzo: wychudł, szcerniał i jeno oczy mu niesamowicie łyskały.

Jakaś ogromna troska osiadła na ongi spokojnym czole i wyrzyła głębokie koleiny. Szczęka dolna wysunęła się jakoś niepomiernie ku przodowi, nos zaostriął jak u rabego

³⁹rychłoli — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy rychło (tj. czy szybko). [przypis edytorski]

⁴⁰gędziba (daw., gw.) — śpiew. [przypis edytorski]

sępa dziób. Sposepniał też, sponurzał, do nocy zły podobny. Jenó ilekroć na Rozalkę pojrzał, rozpogadzał się, weselał, ale nie na długo, bo zaraz popadał w tępą zadumę. Oto już rok zbiegał ku końcowi od czasu, gdy weszła w progi jego pustelni. Weszła jak płomień czerwony, jak żagiew i zadymilo wszystko pożogą. Te noce upojne rozkoszą, te podrzuty ciał, spiekle pocałunki... Ta tęsknica w przewlekłe ranki, spełniana w wichurze szału w długie, odurzające popołudnia...

Jeno czasami jak łysk, jak oczymgnienie przebiegał się w niej niby kłam i mrozem pierś skuwał. Wtedy ostry ból wżerał się chłodnym krajem i kaleczył okrutnie... Ale jedna pieszczota jej toczonych rąk, jedno przeciągłe pojrzenie roztopiały ścięte zimnem na chwilę serce. Kochanicą mu była, promykiem jasnym w jesienną szarugę, wszystkim... Poszedłby dla niej jak ów Jontek z klechdy za siódmą górę, za siódmą rzekę po dzban wody żywej dla umiłowanej. Nie bronił niczego, ustępował najmniejszej zachciance. — Wielkie też, dziwne poczyniła zmiany w jego chacie. Na pustych ścianach świetlicy porozwieszała przeróżne obrazy, których zrazu nie pojmował. Przed jednym z nich co soboty paliła lampkę olejną i rzucała się na kolana, a to tak, aby on widział. Zrazu przyszło mu to dziwno, potem jął dopytywać, dlaczego przed tą niewiastą z dzieckiem u piersi pokłon składa.

— Spoznasz inną porą — zbywała go tajemniczo.

I obejście zmieniło się bardzo. Powyrywała łopian, co mszyste liście rozwiódł dokoła, wypełła mątwę, wykorzeniła oset... A wszystko z taką zaciekłością, z takim zawistnym żarem, że aż dziw miał i trwoga. Widział, jak trzebiła mu rodzimą dziedzinę i nie opierał się, choć z każdym wyplenionym korzeniem jakby mu własne trzewia targała. Zacinał zęby z bólu i zmógł się... Na trzebnisku zasadziła wiosną warzywa, kwiaty... pod lato wykluły się zielone pąki i zaścieliły świeżą runią spulchnione podścielisko. Wyrósł nowy, młody świat i stłumił stary, wykarmiony na jego sokach.

W niedziele i święta przychodziła stara Magda i w troje dożywali wieczora. Rozalka wydobywała ze skrzyni jakąś poźółkłą księgę i czytywała: dziwne rzeczy, niesłychane... O wielkim, władczym Duchu, który tchem swej woli wyrzucił z mętów przedwiekowych rodzajną ziemiecę, o pierworodnym grzechu, o ludzie wybranym Izraela — o proroku białym i czystym, o cudotwórcy, co ludzi wskrzeszał, jemuże na imię Jezus z Nazaretu, o męce Pana, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, o Najświętszej Paniencie...

Wawrzon słuchał. W pierwszych tygodniach, zdało się, słyszy jedną z tych starych gadek, jakie po ludziach chodzą, staruchy przy wiatrach zimowych gędzą. Wywiodły go z błędu, wskazując na wiarę u innych... Począł rozważać. — Jakże więc, i ta moc, którą braci dźwigał, nie była z ziemi — rodzicielki, bezlicznym ziołem kraśnej, borami szumnej, wodami wilgnej?... Jakże — więc i ta władza jasnowidza, którą ludzkie bolenie przezierał, nie z łona tej matki poczęta, co w radosny krzepiącą się siłą słońca jarz rześnym pokotem zlega, kwieciem wonna, mlekiem ciekąca?...

I żal bezbrzeżny, i zawód zalały duszę. Dawna wielka wiara ostygła, gasła... Jakżeż marny i nikły wydał się ten wielbiony świat, ten Bóg z zarania życia... Wszczęła się rozkielznana walka. Było w nim jakby dwóch ludzi, dwóch śmiertelnych wrogów; czuł, jak mu się przesuwały w załomach duszy stare pokłady wierzeń niby bryły skalne wyparte ze ślepych dziedzińców podziemia, rozpryskują w odruzgi i opadają zalegającym miałem na dno... Tknięty przeczuciem śmiertelnie ranionego zwierza uciekał, skrywał się w najnieдоступniejsze zakątki wyspy. Nie pomogło. Wciąż we snach majaczyła piękna, pociągła twarz Tego tam, w świetlicy na obrazie, Pasterza dobrego i cichego. I już nie wzbraniał się słuchać; chorzał tylko coraz częściej i moc tracił. Zawiesiło mu nad głową trupa rękę jakiegoś straszne widmo i groziło pomstą. Miał je tuż nad sobą, że bał się oczu podnieść, myślą ściągnąć; jeno nie wiedział, jak przyjdzie i dlaczego, ale że już nie długo czekać — to pewna...

Wyszli ze świetlicy przed chatę. — Miało się pod nieszpór. Niedzielny, rozpogodzony świat. Na zachodnim zrębie nieba parę wrzecionowatych smugów pławiło brzegi w rozżagwionym skonie słońca. Czarne klucze kawek, wrażając się dzióbem w modrzejący błękit, rysowały w ciemnych, rozbieżnych szlakach. Na ziemię zstępowała rosa wieczorna i rzeźwiła trawy po widnokrężnych pastwiskach i łąkach...

Ogród, Kobieta, Mężczyzna,
Rośliny, Przemiana

Od siola nadpłynął rzewny odzew sygnaturki, by oznajmić ludziom pobożnym, że oto pora na uczczenie tej chwili, kiedy Anioł Pański wieść przyniósł Przczystej Maryi, jako⁴¹ pocznie syna...

Magda z Rozalką uklękły zwrócone tam, gdzie spomiędzy gałęzi tlił zachód...

— Anioł Pański zwiastował Maryi... — poczęła głośno wiedźma, a słysząc jeno głos córki, jak wtórzył, mocniej już, z groźbą w oczach wwiercając się w chmurną twarz stojącego Wawrzona powtórzyła wezwanie... Zachwiał się, jak z nóg zwalony przygiął kolano i głosem głębokim, choć znękany odpowiedział:

— I poczęła z Ducha Świętego...

Potem modlili się już wszyscy razem. Skończywszy „Zdrowas”, dźwignął się ciężko i rzekł cichym, dobrym głosem:

— Pozdrowilem Panienkę — jeno tu... we wnętrzu coś się do cna załamało...

...Podjął po raz trzeci. Wziął dziecko z rąk matki i zaczął mu nacierać ciemię. Kiedyś wystarczyło lekkie zgięcie palca, by podobne guzy rozewrzeć. Dziś nie chciały ustąpić, owszem, zdawały się jeszcze twardnieć pod naciskiem dłoni. Chłopak stękał i jęczał, na nogach wzdymały się krwią nabiegłe ociekliny...

Po ludziach zebranych w olszynie przeszedł głuchy pomruk; patrzyli zdziwieni, przerażeni, oczom nie wierząc. W gdzie jakich oczach migotało szyderstwo i zła radość. Ceglasty rumieniec wypełził na zbiele policzki Wawrzona. Minęły już dwie godziny od czasu, jak zajął się dzieckiem. Postanowił skończyć. Naprężył się w sobie, skupił wszystkie siły i ujął w obie dłonie jego głowę: darmo... leżało obojętne, nieczule na to niegdyś tak piorunujące dotknięcie. Pół martwe, zsiniałe oddał matce. — Poczęła nań miotać najzjadliwsze obelgi, aż ją odprowadzili starsi. Wtedy rzekł do okalającej go gromady:

— Ostawajcie z Bogiem, ludzie dobrzy, i poniechajcie mnie... skruszyła się moc moja...

Odeszli. Zdala jeszcze słycać było szmer głosów, brzęk odkręcanego łańcucha, raz urągliwy śmiech zahuczał... Potem miarowy plusk wiosel i... zgłuchło...

Wawrzon pozostał sam.

— Spełniło się... — powtarzały bezdźwięcznie wargi.

— Spełniło się... — zagwizdał w przelocie wiatr i utknął w sitowiu...

— Spełniło się... — zaszemrały wody i pociekły dalej...

Nieznośny ból zagnieździł się pod czaszką i parł o ściany. Czasami myślał, że mu ją w spoiwach rozsądzi, w szwach porozluźnia. Olbrzymi dzwon zawiesił ktoś i bił spiżowym sercem na trwogę. Rozpętała się w głowie potworna wirownica i gnała, gnała bez tchu, bez postoj... Rozszalałe sprychy ociekały kipiącą krwią, co siklawą⁴² zalewała mózg...

Z trudem opanował się. Osądził jasno: tamto... stracone!... Bezpowrotnie, bezna-dziejnie. Trudno... doła chciała... Została ona...

Hej! Hej! Dziewo umiłowana, tyś mi moc zabrała, stopiła w błędnym ogniu niesytych żądź, krzepkość duszną zwlekła, zwarzyła krew... Hej! hej!... Przyłożyła biała rączka topór pod zielony dąb... Niech tam!.. Byleś mię jeno miłowała... Ja bym dla cię w kawałce się pokrajać dał... Niech tam!.. Byleś ty mi się nie odmieniła, miłośnico moja!...

Teraz już ostaniemy razem czekać dnia onego, kiedy kostucha — matula w dziewosłę-by przyjdzie... Ja cię na rękę nosić będę, gołąbko biała, tak mocno przyhołubię... Jeszcze starczy sił... poźrzyj⁴³! Przeszronne piersi mam, jest się gdzie przytulić... Ja ci spod nóg ciernie i osty wyplewię, kamienie na miałki zetrę piarg i drogę kwieciem uścielę... Jeno rękę daj!... Jać w przygodzie stanę — w przyjazne skryję ramiona... jeno mi się zwóll!... Zorzo ty jasna!...

I poszedł ku chacie żądny pocałunków, paru dobrych słów. Przed chatą nie było nikogo. Żaden szelest nie nadchodził z wnętrza... śpiesznie wstąpił w świetlicę. Była pusta i głucha. Rozglądął się po ścianach i zadrżał!... Obrazy poznikwały... W miejsce nich wyzierały gwoździe, najeżając czarne głowy... Wyciągały ku niemu swe długie szyje, zbliżyły tuż pod same oczy i znów droczą się wślizgiwały w deski...

Ucieczka, Samobójstwo,
Mężczyzna, Kobieta, Dom

⁴¹jako — tu: że. [przypis edytorski]

⁴²siklawą — wodospad. [przypis edytorski]

⁴³poźrzyj — spojrzj. [przypis edytorski]

Naokoło znać było wielki nieład. Skrzynia z rzeczami Rozalki rozdarła na oścież przykro uderzała w oczy opustoszałym wnętrzem. Parę łachmanów walało się po toku, w kącie rozbite w pośpiechu zwierciadło... pod ławą od wczoraj wypuszczona z rąk zżółkła książka...

Z rozdzierającą ciekawością patrzył dalej... Na progu porzucona wstążka krwawiła jedwabiem...

Przeszedł w sień. — Drzwi z tyłu wywalone z taką gwałtownością, że górna połać wypadła z zawiasów i zwiśla...

Na ryglu strzepy zapaski...

Pojął...

— Odbieżała... odbieżała...

Wrócił do świetlicy. Na stole leżał wykręcony w węzownicę sznur, którym Rozalka zwykła ściągać skrzynię...

— To dla mnie...

Bezmyślnie wziął go do ręki, ułożył pętlicę, zawęził w supeł. Stanąwszy na zydlu, przytwierdził pętlę do belki, założył na szyję... pchnął zydel daleko pod okno...

W izbie zarzęziło...

Dobiegało południe. Cicho było na Jaworznyim ostrowie, cicho i sennie. Żar lał się strugami z poblądłego nieba. W skwarnym powietrzu przeciągały bez głosu rozognione południce. Ciepły ciąg szedł ze dwora, wnącał się do chaty, przepływał wąską sień i wypadał drugą stroną w sad... W górze strażowały zeszywniałe drzewa. Po rozpadlinach, w szparach gruntu popadanego w drobne żyły, po wykrotach słońcowały się pstre zwiniki... Para padalców wysunęła się z kryjówek i pozwijając oślizgłe przeguby w dwa czerniejące na piasku pierścienie. Tu i tam świerszcz jęknął, konik zaćwierkał... W nadrzecznych krzaczach tęsknił samotny głos wiwilgi...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-z-wyjatkow-w-pomrokach-wiary>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żalny, Z wyjątków. W pomrokach wiary, Drukarnia „Narodowa”, Lwów [1909].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Katarzyna Czech, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).